

AUTORKA BESTSELLERA

NAJSZCZĘŚLIWSZA DZIEWCZYNA NA ŚWIECIE

JESSICA KNOLL



ODWAŻNE

MŁODZI

KOBIETY

FILIA

JESSICA KNOLL



**ODWAŻNE
MŁODZI
KOBIECY**

Przełożyła
Malwina Stopyra

FILIA

Dla C – nie mogłabym napisać ostatniej linijki bez ciebie.

PAMELA

Montclair, New Jersey

Dzień 15825

Może mnie nie pamiętasz, ale ja nigdy nie zapomniałam Ciebie, rozpoczyna się list, napisany pochyłym pismem, którego już nie uczy się w szkołach. Ze zdumieniem odczytuję zdanie dwa razy. Minęły czterdzieści trzy lata, odkąd miałam styczność z mężczyzną, którego nawet najbardziej szanowane gazety nazywały amerykańskim mordercą seksualnym, a moje nazwisko zostało dawno dopisane do tej historii.

Tylko rzuciłam okiem na adres zwrotny, zanim wsunęłam paznokiec pod miejsce zaklejenia koperty, ale teraz trzymam ją na wyciągnięcie ręki i wypowiadam na głos nazwisko nadawcy, z emfazą, jakby ktoś pytał mnie o odpowiedź na to samo pytanie po raz drugi, chociaż za pierwszym razem na pewno usłyszał. Autorka listu myli się. Ja też nigdy jej nie zapomniałam, chociaż jest związana ze wspomnieniem, o którym z pewnością chciałabym zapomnieć.

– Mówiłaś coś, skarbie? – Moja sekretarka odsunęła swoje krzesło na kółkach od biurka i teraz siedzi na nim w otwartych drzwiach mojego gabinetu, z z troskaniem przechylając głowę. Janet nazywa mnie „skarbem” i czasami „dzieciną”, chociaż jest tylko siedem lat starsza ode mnie. Jeśli ktoś określi ją moją asystentką administracyjną, zaci-

ska wargi w wąską linię. To aspiracje, które Janet w ogóle nie dotyczą.

Janet patrzy, jak przekręcam kartkę okolicznościową z granatowym brzegiem w przód i w tył, w przód i w tył, generując lekkie podmuchy, które unoszą mi grzywkę z czoła. Zapewne wyglądam, jakbym się wachlowała i zaraz mogła zemdleć, bo podbiega do mnie i czuję, jak delikatnie głaszczę mnie po plecach. Bawi się okularami do czytania, zawieszonymi na szyi na sznureczku z paciorkami imitującymi drogie kamienie, a potem opiera swój ostry podbródek na moim ramieniu, żeby odczytać zaskakujące wezwanie do stawiennictwa.

– Jest datowane prawie trzy miesiące temu – mówię z nutką gniewu. To, że kobiety, które powinny wiedzieć jako pierwsze, dowiadywały się ostatnie, było powodem mojego podniesionego ciśnienia i zalecenia od lekarza, żebym wykluczyła sól z diety na większą część lat osiemdziesiątych. – Dlaczego widzę to dopiero teraz? – *Co, jeśli się spóźniłam?*

Janet spojrziała z wściekłością na datę. 12 lutego 2021.

– Może ochrona zatrzymała list. – Obchodzi biurko i kładzie kopertę na mojej podkładce, która wygląda na skórzaną, ale w rzeczywistości jest syntetyczna. – Mhm. – Kwadratowym paznokciem wskazuje adres zwrotny umieszczony w lewym górnym rogu. – Dlatego, że jest z Tallahassee. Z pewnością go zatrzymali.

– Cholera – mówię słabym głosem. Stoję tak i zupełnie jak tamtej nocy, moje ciało zaczyna poruszać się bez świadomego udziału mózgu. Stwierdzam, że zaczęłam się pakować, chociaż jest ledwie po lunchu, a o czwartej mam zajęcia z medytacji. – *Cholera* – mówię raz jeszcze, bo ta

bezwzględna część mnie postanowiła, że nie tylko odwołam te popołudniowe, ale również zapłacę karę za nieobecność na jutrzejszych zajęciach na rowerku stacjonarnym o szóstej rano.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Janet przygląda mi się z mieszaniną niepokoju i rezygnacji, których nie widziałam od dawna. To spojrzenie, którym obdarzają cię ludzie, kiedy wydarzyło się najgorsze i naprawdę nie ma nic, co ktokolwiek mógłby zrobić dla ciebie, dla kogokolwiek z nas, ponieważ niektórzy umierają wcześniej i kłopotliwie, i nie ma możliwości przewidzieć, czy to ty będziesz następny, i zanim się spostrzeżesz, żałobnik i pocieszyciel wpatrują się pustym wzrokiem w przestrzeń. Procedura wraca do mnie instynktownie, chociaż upłynęło już osiem prezydentur. Trzy oskarżenia urzędników państwowych. Jedna pandemia. Wieże upadły. Facebook. Ulica Sezamkowa. Mrożona herbata Snapple. Nigdy nie posmakowały tej herbaty. Ale to nie wydarzyło się też w jakichś zamierzchłych czasach. Gdyby żyły, byłyby w tym samym wieku co Michelle Pfeiffer.

– Chyba jadę do Tallahassee – mówię z niedowierzaniem.

Tallahassee, Floryda

14 stycznia 1978

Siedem godzin wcześniej

W sobotnie wieczory, kiedy się przygotowywałyśmy, drzwi były otwarte. Dziewczyny wchodziły do pokoju, mając na sobie jakieś ubrania, a wychodziły w czymś o wiele krótszym. Korytarze były tak ciasne i ograniczone jak przejścia na statku, i wypełnione rozmowami o tym, co kto robił, dokąd szedł i z kim. Sprej do włosów i lakier do paznokci tworzyły naszą prywatną warstwę ozonową, temperatura wydzielana przez suszarki podnosiła słupek rtęci o cztery, a czasem nawet pięć stopni na analogowym termometrze zawieszonym na ścianie. Uchyliłyśmy okna, żeby wpuścić świeże powietrze, i nabijałyśmy się z muzyki dobiegającej z baru obok; sobota była wieczorem disco, czyli dla starych ludzi. Było statystycznie niemożliwe, żeby mogło stać się coś złego, kiedy Barry Gibb kwilił swoim donośnym falsem, że wszyscy żyjemy, by ujrzeć nowy dzień, ale jesteśmy tym, co modele matematyczne określają jako obserwacją odstającą.

Przymilny głos dołączył do pukania do moich drzwi.

– Myślę, że może padać śnieg. – Podniosłam wzrok znad grafików wolontariuszy zaścielających moje używane biurko

sekretarki, by zobaczyć Denise Andorę, stojącą w progu, z dłońmi zwiniętymi nieśmiało przed sobą.

– Nieźle kombinujesz. – Zaśmiałam się. Denise czaiła się, żeby pożyczyć mój płaszcz z owczej wełny. Chociaż zima 1978 roku przyniosła do Panhandle głębokie mrozy, które zabiły azalie wzdłuż granicy z Georgią, nigdy nie było na tyle zimno, żeby padał śnieg.

– *Proszę*, Pamelolo! – Denise złożyła dłonie jak do modlitwy i z rosnącym zapałem powtarzała ponad czerwonymi paznokciami swoje błagania. – *Proszę. Proszę. Proszę.* Żadna z moich rzeczy nie pasuje. – Okręciła się w miejscu, żeby udowodnić swoje słowa. Wiem dość dokładnie, co miała na sobie tamtej nocy, bo później opis jej stroju znalazł się w gazecie: cienki golfik włożony w džinsy, zamszowy pasek i pasujące do niego zamshowe, orzechowe buty, kolczyki z opalem i jej ukochana srebrna bransoletka z zawieszkami. Moja przyjaciółka była bardzo wysoka i ważyła chyba tyle, co ja w dzieciństwie, ale ostatecznie nauczyłam się już radzić sobie z zazdrością jak z migreną. Tym, co wywoływało ten ból, było patrzanie na Denise, kiedy twierdziła, że potrzebuje uwagi ze strony mężczyzn.

– Nie kaź mi błagać. – Lekko tupnęła nogą. – Roger pytał kilku dziewczyn, czy dzisiaj przyjdę.

Odłożyłam ołówek.

– Denise – upomniałam ją.

Już straciłam rachubę, ile razy Denise i Roger ogłaszali swoje rozstanie tylko po to, żeby spotkać się w nocy. Niezależnie od tego, ilu ciepłych piw i powłóczystych spojrzeń było trzeba, żeby wybaczyli sobie złośliwości, które mówili o sobie i do siebie, to ostatecznie zerwanie przypominało raczej

drażenie w ranie brudnym nożem, który dość dosłownie zakaził Denise, sprawiając, że zwracała wszystko, co zjadła, przez prawie tydzień i musiała na krótko zostać w szpitalu z powodu odwodnienia. Kiedy ją odbierałam, przysięgała, że całkowicie wyrzuciła z siebie Rogera. „Splukałam dwa razy, dla pewności”, powiedziała, śmiejąc się słabo, po tym jak pomogłam jej wstać ze szpitalnego wózka i posadziłam na siedzeniu pasażera w samochodzie.

Denise wzruszyła teraz ramionami z nagłą, podejrzaną obojętnością, podchodząc do mojego okna.

– To tylko kilka przecznic od Turq House. W nocy zapowiadają prawie dziesięć centymetrów śniegu. Będzie mi trochę zimno, ale – przesunęła klamkę i przycisnęła dłonie do szyby, pozostawiając ślady, które wkrótce nie będą pasowały do żyjącej osoby – może Roger będzie chętny, żeby mnie ogrzać. – Odwróciła się do mnie, ściągając ramiona w mroźnym pokoju. O ile rodzice nie przyjeżdżali do niej na weekend, biustonosz Denise spoczywał w górnej szufladzie jej komody.

Czułam, jak moja silna wola się kurczy.

– *Obiecujesz, że potem oddasz go do pralni?*

– Tak jest, pani Perfekcyjna Pam. – Denise stuknęła obcasami w wojskowym salucie. „Perfekcyjna Pam” to nie do końca przyjazna ksywka, którą Denise wymyśliła dla mnie. Odnosiła się do popularnych reklam, w których występowały kobiety z natapirowanymi włosami, rozprawiające o waznywnym spreju, dzięki któremu oszczędzają czas, pieniądze i kalorie. „Gotowanie z PAM”, głosi kobieta, zsuwając rybę z patelni na talerz, „i obiad zawsze jest perfekcyjny”.

Denise to moja pierwsza przyjaciółka na FSU, Uniwersytecie Stanowym Florydy, ale ostatnio osiągnęliśmy pewien

impas. Największym problemem przywództwa w stowarzyszeniach było faworyzowanie. Poprzednie przewodniczące trzymały się zasad wobec części dziewczyn, jednocześnie pozwalając, by ich przyjaciółkom uszło na sucho morderstwo. Kiedy ubiegałam się o stanowisko przewodniczącej i wygrałam, wiedziałam, że Denise oczekiwała pobłażliwości, skoro znalazłam się na szczycie zarządu. Jednak ja byłam tak zdeterminowana, by stać się lepsza od moich poprzedniczek, by być zapamiętana jako sprawiedliwa i bezstronna liderka, że wobec Denise miałam większe wymagania niż wobec innych. Za każdym razem, kiedy omijała poniedziałkowe spotkania zarządu albo przekładała wyjazdy służbowe, było tak, jakby rzucała mi wyzwanie, żebym ją wykopała. Inne dziewczyny patrzyły na nas jak na dwa jelenie, które opuściły głowy i starły się porożami. Nasza skarbniczka, kasztanowowłosa finalistka wyborów Miss Florydy, która dorastała, polując w Hrabstwie Franklin, zawsze powtarzała, że jedna z nas powinna odpuścić, zanim się zakleszczymy i którąś będzie trzeba odpiłować, żeby nas uwolnić. Widziałam, jak robiono tak w przyrodzie.

– Możesz założyć płaszcz – ustąpiłam.

Denise doskoczyła do mojej szafy z dziecinną radością, co sprawiło, że poczułam się jak okropna jędz. Wywróciła oczami z przyjemnością, wsuwając ramiona w jedwabiste wnętrze płaszcza. Miałam piękne ubrania, które pasowały niczym druga, bardziej miękka skóra, dzięki matce, która poświęciła życie na dbanie o takie rzeczy. Może też by mi na tym zależało, gdybym w połowie mojej garderoby wyglądała tak dobrze, jak Denise. Jednak ja miałam okrągłą, irlandzką twarz, stojącą w sprzeczności z moją figurą. Właśnie to

miałam – nie ciało, a figurę. Sprzeczność między moimi piegawatymi, rumianymi policzkami i krągłościami była tak znacząca, że często czułam potrzebę, by za to przeproszać. Powinnam być albo ładniejsza, albo mniej ładna, w zależności od tego, kto patrzył i gdzie.

– Możesz zamknąć mi okno, zanim wyjdiesz? – Uderzyłam otwartą dłońią w biurko, gdy powiew wiatru wpadł do pokoju, grożąc rozwianiem moich pozaznaczanych na kolorowo stron kalendarza.

Denise podeszła do okna i odegrała przedstawienie, napierając na nie, jakby musiała włożyć całą siłę w zamknięcie go.

– Zacięło się – powiedziała. – Lepiej chodź ze mną, żebyś nie zamarzała na śmierć podczas planowania trzydziestej trzeciej dorocznej akcji krwiodawstwa. Niezły sposób, by umrzeć.

Westchnęłam, nie dlatego, że chciałam wziąć udział w głośnej imprezie bractwa, a nie mogłam, bo musiałam zaplanować trzydziestą trzecią doroczną akcję krwiodawstwa. Moje westchnienie było spowodowane faktem, że nie miałam pojęcia, jak przekonać Denise, że w rzeczywistości *nie chciałam* iść, że nigdy nie byłam bardziej zadowolona, niż siedząc przy moim podrapanym biurku w sobotni wieczór, z otwartymi drzwiami, i czekając, by oglądać dramaty trzydziestu ośmiu dziewczyn przygotowujących się do wyjścia, czując, że wykonałam pracę, do której mnie wybrano, jeśli przed końcem tygodnia każda mogła puścić muzykę, nałożyć tusz na rzęsy i droczyć się, idąc przez korytarz. Rzeczy, które słyszałam ze swojego pokoju. Absolutne piekło, jakie gotowałyśmy sobie nawzajem. Wypominałyśmy sobie, która musiała golić palce u stóp, a która nigdy nie powinna tańczyć w miejscach

publicznych, jeśli chciała mieć szansę na związek. – Lepiej będziesz się bawić beze mnie – odmówiłam słabo.

– Wiesz, pewnego dnia – powiedziała Denise, odwracając się, żeby tym razem naprawdę zamknąć okno; jej długie, ciemne włosy powiewały jak peleryna superbohatera – kiedy będziesz miała tłusty tyłek, spojrzysz wstecz i będziesz, żałować, że...

Denise przerwał krzyk, który mój system nerwowy ledwo zarejestrował. Byłyśmy dwudziestojednoletnimi dziewczynami ze stowarzyszenia, krzyczałyśmy nie dlatego, że coś było obrzydliwie, niemożliwie niewłaściwe, ale dlatego, że sobotnie noce wywoływały w nas ekscytację i euforię. Z czasem zaczęłam nienawidzić tego dnia, na który większość ludzi czekała przez cały tydzień, jego fałszywego poczucia bezpieczeństwa, nieszczerzej obietnicy wolności i zabawy.

Na trawniku przed domem dwie z naszych siostr ze stowarzyszenia stękały i sapały, ciągnąc paczkę, mniej więcej wielkości plakatu kinowego, miały zaróżowione policzki od zimna i wysiłku, a ich źrenice były rozszerzone w upiorny, przyprawiający o drżenie serca sposób.

– Pomóżcie nam. – Trochę się śmiały, a trochę dyszały, gdy ja i Denise spotkałyśmy je na naszym trawniczku, otoczonym różowymi kępami ozdobnej trawy, które miały zapobiegać parkowaniu klientów pobliskiego baru na naszej posesji, gdy parking był pełen. Każdy student przechodzący przez ulicę, by wpaść po coś do jedzenia do Pop Stop przed zamknięciem, i tak po nich deptał.

Ustawiałam się pośrodku, pochylałam i uniosłam paczkę, wsuwając rękę pod spód, ale Denise tylko zwinęła palce i gwizdnęła donośnie, sprawiając, że dwaj faceci przechodzący w pobliżu stanęli jak wryci. Żaden element krajobrazu nie mógł powstrzymać ludzi przed korzystaniem z naszego skrótu i nie mogłam ich za to winić. Przecznice w Tallahassee były tak długie jak aleje w Nowym Jorku, a Denise cieszyła się, że to wiedziałam.

– Przydałaby się pomoc. – Denise odrzuciła ciemne włosy, które godzinami skłaniała do jedwabistego posłuszeństwa, i wysunęła biodro w pozie będącej fantazją każdego faceta.

Patrzyłam, jak poobgryzane paznokcie chłopaka wsunęły się zaledwie centymetry od moich pod naszą zabronioną przesылkę, i od razu poczułam ulgę, gdy ciężar się zmniejszył. Przeszłam na przód, żeby poprowadzić chłopaków po trzech stopniach, a potem – „ostrożnie, trochę w lewo, nie, to drugie lewo!” – przez podwójne drzwi frontowe. Właśnie odmalowano nam je na chabrowy kolor, by pasowały do prążków na tapecie w hallu, gdzie w tej chwili zebrali się wszyscy – dziewczyny, które robiły popcorn w kuchni, te, które siedziały razem na kanapie w pokoju rekreacyjnym, żeby nadrobić oglądanie odcinków serialu *As the World Turns* nagranych przez cały tydzień, te, które przygotowywały się do wyjścia, z wałkami we włosach, machając schnącymi paznokciami. Chciały zobaczyć, skąd całe zamieszanie, równie bardzo, co sprytnie ocenić naszych pomocników tragarzy, starszych od nas o przynajmniej osiem lat, ale młodszych od profesorów, którzy bez przerwy zapraszali nas na kolacje.

Było trochę kłótni o to, co zrobić następnie. Denise nalegała, żeby wejść na górę, ale jedynymi mężczyznami, którym wolno było wchodzić na drugie piętro, byli członkowie rodzin w dniu wprowadzania i pracownik gospodarczy, kiedy trzeba było coś naprawić.

– Nie bądź taka, Pamela – błagała Denise. – Wiesz, że jeśli zostawimy to tutaj, ukradną nam to, zanim dokonamy wymiany. – Chociaż paczka była owinięta prześcieradłem, wszystkie wiedziałyśmy, że to oprawione w ramę tableau naszego ukochanego stowarzyszenia, każdy aktywny członek z poważną miną w garniturze i krawacie, a w samym centrum znajdował się ich herb z grzechotnikiem i dwusiecznym mieczem. Trwało to już od miesięcy, każdy z domów podkradał tableau tego drugiego, pozostawiając osmolony kwadrat, którego nie dawało się wyczyścić nawet silnym środkiem z amoniakiem.

Denise wpatrywała się we mnie błyszczącymi, okolonymi czarną konturówką oczami, jakby mówiła „mam cię!”. Ponad dekadę później, kiedy w końcu zostałam matką, rozpoznałam ten trik, to prośenie o coś, czego ci nie wolno, przy grupie ludzi, która chciała, żebyś to miał. Nie było możliwości odmówienia, chyba że chciałeś, żeby wszyscy uznali cię za podłą, starą wiedźmę.

Prychnęłam gardłowo. Jak mogła w ogóle prosić.

Denise rozchyliła wargi i zrzędlą jej mina z rozczarowania. Ten wyraz twarzy też znałam. Denise zawsze tak wyglądała, kiedy zobaczyła we mnie przewodniczącą stowarzyszenia studenckiego po tym, jak długo widziała we mnie tylko przyjaciółkę.

– Mężczyzna na piętrze! – krzyknęłam, a Denise złapała mnie za ramiona i potrząsnęła w żartobliwej szarpaninie.

Prawie ją nabrałam. Potem zostałyśmy zmiecione przez pozostałe dziewczyny, które poruszały się niczym ławica ryb, jak jedno ciało, które zwęziło się na schodach i rozszerzyło z powrotem na piętrze, by ponownie ścisnąć się w wąskich korytarzach. Przez cały czas podśpiewywałyśmy „mężczyzna na piętrze”, nie równo, ale pojedynczymi głosami, które konkurowały ze sobą zgrzytliwie. Była taka piosenka Paula McCartneya – „Band on the Run” – która dla jednej z moich siostr, nigdy nie pamiętałyśmy, dla której, brzmiała jak „Man on the Run”, i przy jeszcze jednej modyfikacji powstał wewnętrzny żart naszego domu. Był tak chwytliwy, że następnego ranka, kiedy siedziałyśmy w jadalni oszołomione, słyszałam echo naszego chóru. Wtedy na piętrze było już wielu mężczyzn, niektórzy ubrani na niebiesko, inni w białe kitle, a dowodzący w codziennych ubraniach wycinali zakrwawione kwadraty z naszych dywanów i wyskubywali z nich zęby trzonowe. I wtedy któraś zaśpiewała z pełną mocą – „mężczyzna na piętrze, mężczyzyna na piętrze!” – i wszystkie zaczęłyśmy się śmiać, szczerze, donośnie, sprawiając, że część naszych gości w mundurach zatrzymała się na schodach i wpatrywali się w nas, a na ich skrzywionych, pełnych wyrzutu twarzach pojawił się tylko cień zmartwienia.

Tableau trafiło do pokoju numer cztery, należącego do dziewczyn, które dokonały napadu. Nasi tragarze sceptycznie oglądali niewielką przestrzeń, zanim kopnięciem zamknęli drzwi i oparli cenną zdobycz o jedno z bliźniaczych

łóżek. Jeśli ktoś chciał dostać się do pokoju, musiał odwrócić się bokiem, a nawet wtedy nie sądzę, żebym zdołała wśliznąć się do środka, nie przy mojej *figurze*.

– Nie macie jakiegoś poddasza czy czegoś takiego? – zapytał jeden z facetów.

Miałyśmy, ale posiadanie tableau w swoim pokoju było jak powieszenie poroża na ścianie, jak wyjaśniła im Denise. Kilka dziewczyn z bardziej płaskim biustem przeciskało się już przez drzwi z aparatami, żeby zrobić zdjęcia lokalnym bohaterkom w pokoju numer cztery, które już pozowały, udając, że trzymają w ręku broń, i zarzucały włosy niczym aniołki Charliego. Za kilka godzin on spróbuje wejść do tego pokoju, ale napotka opór w postaci tableau przedstawiające oddział z 1948 roku – wciąż pamiętam, że to właśnie był rok, na który dziewczyny się wystylizowały, nadal widzę ich naoliwione włosy i ostro zakończone oprawki okularów. Dzisiaj Sharon Selva jest chirurgiem szczękowym w Austin, a Jackie Clurry profesorem na tym samym uniwersytecie, który przeżył koszmar zimą 1978 roku, a wszystko przez jakiś głupi żart.

Denise z determinacją podeszła do małej lampy z bursztynową nóżką, którą dziewczyny trzymały na stosie starych czasopism, zdjęła klosz i pociągnęła przewód tak daleko, jak mogła, żeby kucnąć przed obrazem i przyjrzeć się jego powierzchni przy świetle żarówki, jakby przeszukiwała plażę z wykrywaczem metalu. Potrząsnęła głową zdumiona.

– Nawet ich tableau z lat czterdziestych miały jakoś muzealną! – wykrzyknęła z głębokim oburzeniem.

Przez dwa lata pozwalałyśmy chłopakom z Turq House – skrót od koloru, na jaki były pomalowane ich drzwi i okiennice – myśleć, że brali udział w klasycznych, przyjacielskich

Tallahassee, rok 1978. Przewodnicząca bractwa na uniwersytecie, Pamela Schumacher, obudzona o 3 nad ranem przez niepokojący dźwięk, postanawia zbadać sytuację. To, co znajduje za drzwiami, to scena nieprawdopodobnego okrucieństwa – dwie z jej sióstr są martwe, dwie kolejne zmasakrowane.

W ciągu następnych kilku dni Pamela poznaje przerażającą tajemnicę, związaną z przestępstwem, które będzie przyciągało uwagę opinii publicznej przez ponad cztery dekady.

W Seattle Tina Cannon łączy zniknięcie swojej najlepszej przyjaciółki z tragedią w Tallahassee i jest przekonana, że stoi za tym ten sam mężczyzna.

**ZDETERMINOWANE, BY WYMIERZYĆ
SPRAWIEDLIWOŚĆ, ŁĄCZĄ SIŁY, A POSZUKIWANIE
ODPOWIEDZI PROWADZI DO OSTATECZNEJ,
NIEBEZPIECZNEJ KONFRONTACJI...**

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilialia.pl



FILIA MRO CZNA
STRONA

cena 54,90 zł

ISBN 978-83-8357-482-0



9 788383 574820